



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

POGA WĘDKA

Gdyby Szekspir nie był napisał monologu Hamleta i rozmowy jego z grabarzami w scenie cmentarnej, o ileż łatwiej byłoby teraz felietonistom wszelkiej miary waryować ten odwieczny temat: „być albo nie być” — lub „umrzeć-zasnąć, zasnąwszy — może śnić”... i t. d.

Co roku o tej porze bowiem z powodu zaduszek następuje się taka wyjątkowa (?) sposobność filozofowania trochę w sposób miły, a przystępny nad śmiercią, nad znikomością życia, nad tem, co nas czeka poza grobem, i co roku razem z wieńcem nieśmiertelników rzuca się garść frazesów zmielonych po raz dziesiąty na mogiły nieboszczyków.

A jednak to Hamletowe: *the rest is silence*, możeby najwłaściwszem było nad grobami, przy których w milczeniu płakać przystoi, a nie rozwodzić się i popisywać retoryką.

„Mówię, bom grzeszny i sam pełen winy;” dzisiaj zamiast reflexyi nad śmiercią cisną mi się codziennie prawie smutne reflexye nad życiem, jakgdybym chodził po cmentarzu, na którym przeznaczenie coraz nowe doły kopie, by jakąś ludzką pociechę lub nadzieję w nim pogrzebać.

W gruncie rzeczy życie smutniejsze bywa od śmierci i nie potrzeba koniecznie chodzić z melancholią Hamleta w bladej twarzy, aby dojść do tego przekonania; można mieć stereotypowy uśmiech na ustach, jak ja go miewam prawie zawsze dla ludzi i dojść do tej smutnej prawdy, która w tysiącach serc cierniem wrosła...

Chodziłem raz z pewnym dziwakiem po Powązkach w święto umarłych, podczas pięknej pogody; cmentarz roił się ludźmi.

— Patrz — mówiłem do niego — to jednak pocieszający widok; pamięć ludzka i miłość przedłużają nasze życie poza grób, śmierć niezdolna przerwać wszystkich nici, jakie nas ze światem łączą. Żyjemy zawsze w sercach, które nas ukochały i dopóki wspomnienia po nas zostają, dopóty nie umarliśmy zupełnie.

— Tak — odrzekł mi — masz słusność, ale co do mnie, więcej wierzę we wpływ pogody, niż w serca ludzkie pod tym względem. Że się dziś cisną tłumy tutaj — nic dziwnego, dzień slichny, błota niema, jesienne słońce ma minę wdowca idącego po raz drugi do ślubu; zwyczaj, ciekawość, względy konwenansu sprowadzają tu tych wszystkich żalobników z wieńcami, kwiatami i światłem. Przyznam się, że wolę Powązki podczas słoty, w dzień dżdżysty, chmurny, ponury; wtedy nie podejrzewam tych, co przyszli, o komedię uczucia i ze wzruszeniem patrzę na tę zakutaną babę, która po raz dziesiąty zapala zgaszoną od wiatru lampkę na grobie nieboszczyka męża, co za życia — świec Panie jego duszy pijał i bijał ją w każdą niedzielę, a którego mimo wszystko serce jej zapomnieć nie mogło; wtedy kłakłbym razem z temi sierotkami na grobie i trzymał parasol nad świeczkami wetkniętymi w murawę w kształcie krzyża, aby ich deszcz nie gasił, bo one, drżąc od chłodu, trzymają tu straż pamięci, jako wierne dzieci zmarłego ojca i matki.

— Czyż teraz tego samego tu nie znajdziesz? — zagadnąłem mojego pessimistę.

— Owszem, ale do tej prawdy miesza się dużo fałszu, hypokryzyi, udania lub pospolitego gapiostwa. Nie cierpię tych dziadowskich lamentacji pod murem, nie noszę widoku tych bezmyślnych wartogłowów, którzy przychodzą tu przyglądać się grobom, jak illuminacyi i napełniać powietrze chaosem pustych rozmów, nie lubię tej kontroli żywych na grobach nieboszczyków. Ten kochał swoją żonę, bo jej dwadzieścia

świec postawił, a tamten wzięwszy spadek po matce, za ledwie na jedną lampkę się zdobył, niewdzięczny; te wieńce i te kwiaty to danina miłości, która nie może pozbyć się wspomnień i wrażeń minionego życia. Nie, mój drogi, parada śmierci mnie razi.

Coż miałem spierać się z dziwakiem? Miał słusność ze swego punktu widzenia.

Zaduszki przypomniały mi dwa dalekie groby, z których jeden opisała w *Kuryerze Warszawskim* młoda poetka p. Helena Janina Boguska (Hajota). Na cmentarzu Montmartre w Paryżu spoczywała żwłoki Juliusza Słowackiego; przed ośmiu laty zwiędzałem na raz ostatni tę mogiłę poety i wówczas już przykro mnie dotknął widok pomnika zrywanego i chylącego się ku ruinie. Dzisiaj podobno w gruz się wali grobowy kamień, wiatry go poobtlukiwały, na medalionie za ledwie rysy autora „Balladyny” rozpoznac można. Minie jeszcze jedna wiosna i jesień, a bezkształtna bryła świadczyć będzie tylko, że swoi zapomnieli o mogile wielkiego piewcy, co na złotych strunach swej harfy wygrywał pieśni króla-ducha...

Panna Boguska woła, by zebrać jak najrychlej fundusz na restaurację pomnika Słowackiego; dochód z odczytu, lub widowiska na ten cel urządzanego najlepiejby potrzebnie zaradził.

Kilkaset franków wystarczy.

Ktokolwiekby stanął na katedrze, by żywym słowem zachęcić do tej kwestyi, zdobydzie sobie zasługę tak samo, jak ją zdobyła Hajota, przypomniawszy publicznie ten obowiązek.

W *Głosie* czytałem odezwę p. Altszyllera, opisującego odwiedzinę swoje w Nowogródku; znalazł on tam domek, w którym niegdyś mieszkał, marzył i tworzył Mickiewicz, rozpadający się w ruinę. Gdyby go nabyć, odrestaurować, po deprecie na dalsze lata, zachowałaby się pamięćka po wielkim wieszczu.

Krocie zbiera się na pomnik dla twórcy „Pana Tadeusza”, a kilka tysięcy wystarczyłoby do utrwalenia jego pamięci na rodzinnym gruncie. Może to przyjmie do wiadomości komitet pomnikowy, reprezentowany dziś głównie w osobie p. Zyblikiewicza, któremu poruczono na ostatnim posiedzeniu rozpisanie trzeciego i ostatecznego konkursu i przyspieszenie sprawy, wlokącej się ze wstydem naszym od lat tyłu pod zbiorową opieką.

Stało się, jak przewidywałem, i stało się chyba najlepiej; energia pana marszałka daje rękojmią, że kwestya pomnika dla Mickiewicza w ten lub ów sposób rozwiązana wreszcie zostanie.

Nowy konkurs wzywa wszystkich rzeźbiarzy polskich do współzawodnictwa i do pracy. Doświadczenia dwóch konkursów, wreszcie wskazówki krytyki i poczynione próby, powinny korzystnie oddziaływać na wyniki trzeciego turnieju naszych mistrzów dłuta, którzy wiedzą przynajmniej teraz, czego od nich ogół się spodziewa i wymaga, a czego unikać powinni.

Dla artystów i literatów nastąpiła obecnie era zapasów piórem, pendzlem i dżutem; konkursów co niemiara. Policzcie tylko: konkurs na pomnik Mickiewicza, konkurs sztuk pięknych, ogłoszony przez nasze Towarzystwo Zachęty, jeden konkurs dramatyczny imienia Alojzego Żółkowskiego, drugi, projektowany, imienia s. p. Anczyca, trzeci zamierzony przez dyrekcją teatru lwowskiego, konkurs redakcji *Głosu* na opis gminy naszej w formie wzorowej monografii, a wreszcie rozstrzygnięty bardzo niedawno, bo w zeszłym tygodniu dopiero, konkurs *Tygodnika ilustrowanego*, z którego laureatką wyszła nasza dobra znajoma p. Zofia Kowerska, jako autorka noweli p. t. „Wydalona.”

Czyż tego niedosyć?...

W parze z konkursami na polu sztuki i literatury idą wystawy nasion, konfekcyi, urządzeń higienicznych, starożytności, bronzów, dywanów, etc. etc.

Wszystkiem tem zajmować się będzie żądna wrażeń, przyjemności i „dziwowania się” publiczność warszawska w ciągu tegorocznej zimy.

Oczu starcy nam na oglądanie, byle tylko kieszeń wytrzymała te ciężkie próby, na jakie filantropia z jednej strony, praktyczność przemysłowa z drugiej, sztuka z trzeciej, a literatura z czwartej nas wystawia.

Podobno na przyszłej wystawie powszechnej w Paryżu projektowaną jest „świątynia mamony”; na jej marmurowym ołtarzu będzie można oglądać górę złota, milion w postaci złotych monet francuzkiego stempla.

Ludzie, którym oczy dziś wyłażą na widok stu rubli, nie powinni patrzeć na taki skarb, bo gotowi od wrażenia jego blasku oslepnąć.

Każą mi mieć nadzieję, że do czasu przyszłej wystawy powszechnej, wzrok nasz odwykły od widoku złotej mamony, przyzwyczai się znów do tego rzadkiego dziś zjawiska; postanowiłem tedy czekać cierpliwie, ale mi się już oddawna powieki mrużą, jak owym ewangelicznym pannom wyczekującym oblubieńca.

Charakterystyczny szczegół opowiadał mi pewien Nabab warszawski, który w tych czasach posiadał całą sturublowkę w jednym banknocie; gdybym nie wiedział, że ją dostał za sprzedaż listu zastawnego po dziadku, podejrzewałbym go, iż obrabował jaką pocztę, bank, albo podobnie sam w chwilach wolnych od zyskowniejszych zajęć.

Otóż tę sturublowkę chciał zmienić na drobne, czyli wyrażając się pięknie, jak to przez uszanowanie dla tak rzadkich banknotów wypada, pragnął tęczę rozłożyć na pojedyncze kolory, żółte, niebieskie, czerwone, wyobraźcie sobie, że wzałż jednej ulicy Marszałkowskiej od alei Jerozolimskiej do Świętokrzyskiej w kilkunastu miejscach odmówiono mu tej przysługi, z bolesnym uśmiechem upokorzenia, bo kassa najpokaźniejszych sklepów nie posiadała summy stu rubli w drobniejszych banknotach.

Może to szczególniejszy przypadek, lecz dziwnie

charakteryzujący bieżącą chwilę generalnej gołizny i ogólnego zastojów.

Na moję pociechę i waszą mam spokojny i wyrozumiały frazes starego Ben-Akiby z „Uriela Acosty”, Gutzkova:

— Wszystko to już było!... *Es ist schon alles da gewesen!*...

Ben-Akibę i Gutzkova przypomniał mi bardzo żywo nasz „polski Strakosch” p. Stanisław Konopka, który w ostatnich dniach popisywał się przed publicznością warszawską, jako recytator utworów dramatycznych.

To nie żarty wbić sobie w głowę kilka tysięcy białych wierszy, a kilkanaście tysięcy rymowanych i bez zająknięcia przez trzy godziny deklamować z estrady za wszystkie osoby, biorące udział w „Urielu Acoście”, „Maryi Stuart”, „Hamlecie”, „Mazepie”, lub „Czattertonie”; a p. Konopka tej sztuki dokazał. Bez egzemplarza, bez świstka jednego wchodzi na estradę, kłania się swoim słuchaczom, siada przy stoliku, zdejmując rękawiczki i zaczyna recytować, jak z książki, bez suflera, utwory Szekspira, Gutzkova, Słowackiego, Dela Vigne'a i innych.

Tego oryginała chciałem pokazać niektórym artystom naszej sceny, co utrzymują, że jednej roli za ciężko im się dobrze nauczyć.

P. Konopka sam był aktorem, ale od lat kilku porzucił scenę, sprzykrzyło mu się grywać w cudzym towarzystwie, więc założył entrepryzę teatralną, w której sam jest dyrektorem i całą trupę jednocześnie uosabia.

Osobny to talent, wymagający kombinacji kilku różnorodnych talentów w sobie, męzkich i kobiecych, charakterystycznych, tragicznych i lirycznych; osobna sztuka charakteryzowania osób dramatu samym głosem, bez akcji, bez przyborów scenicznych, kostymów, dekoracji, oświetlenia.

Potrzeba szczególniejszych zdolności, aby nie usnąć słuchacza i nie znudzić go śmiertelnie; a jednak p. Konopka tego niebezpieczeństwa umiał uniknąć w swoich publicznych popisach tutaj, zarówno jak we Lwowie, w Krakowie, w Pradze i w większych miastach prowincjonalnych w Galicji.

Jest on pierwszym, który tej sztuki z estrady próbuje u nas na wzór słynnego wiedeńskiego profesora wymowy i deklamacji Strakoscha; niemiecki recytator posiada świetny organ głosu, zdolnego do wszelkich modulacji od patetycznego wybuchu do miłosnego szeptu i naiwnego szczebiotu. P. Konopce natura odmówiła tego daru w tak wysokim stopniu, głos jego nie posiada potęgi potrzebnej dla heroiczych postaci na scenie, ale natomiast nagina się wdzięcznie do tonów lirycznych i ogrzewa zapalem scenicznych kochanków, nabrzmiewa łąką rozrzewnienia.

Recytacje p. Konopki mogą być interesujące dla tej publiczności zwłaszcza, która nie ma okazji poznawania znakomitszych utworów literatury dramatycznej ze sceny; na prowincyi powinien pan K. mieć większe powodzenie, niż w Warszawie, gdzie z konieczności rywalizować musi z teatrem i narażać się na porównania, nie zawsze zwyciężkie, zwłaszcza w tych warunkach, w jakich go rola recytatora z estrady stawia.

Przyznać mu trzeba zasługę, a nie odmówić poparcia, jako człowiekowi, który w żywym słowie roznosi piękno poezyi i budzi szlachetniejsze rozmówienie do sztuki.

Żyjemy w czasach tak prozaicznych, że każda chwila podnioslejszego wrażenia czerwonym ołówkiem powinnaby być podkreślona w kalendarzu naszego żywota.

Jeśli używam wyrazu „kalendarz”, to nie sądzicie, że czynię to bez intencji; przeciwnie, zamierzam napisać reklamę p. Winiarskiemu, właścicielowi składu materiałów piśmiennych i rysunkowych za jego wydawnictwo „Praktycznego kalendarza biurkowego na rok 1887”; a wiecie dlaczego?... oto dlatego, że mi z tą nowalią bardzo wygodnie, bo mi zastępuje tekę do papierów, notatnik, „pismo-suszkę” wynalazku p. Ry-

chłowskiego, której dotąd nie widziałem na oczy, ale którą chwałą powszechnie ludzie mający wiele z atramentem do czynienia, kalendarz scienny i podkładkę przy pisaniu, a prztem jest czysto krajowym pomysłem i produktem w handlu, rywalizującym z wyrobami zagranicznymi.

Zasługuje przeto zupełnie na miano „praktycznego kalendarza”, podobnie jak znany tłusciuch kalendarz Józefa Ungra w rządzie noworocznych wydawnictw na poważne miano Nestora kalendarzy, a naśladowca jego „Kalendarz Wieku” na słowo uznania za dział informacyjny i całoroczne przeglądy rozmaitych sfer publicznej naszej działalności.

O młodszej braci tych potentatów jeszcze nie wspominam szczegółowiej, bo nie wszystkie zapowiedziane noworoczniuki ujrzały światło księgarni warszawskich.

Zakończenia moich pogawędek powinienem podznaczać krzyżykiem, bo zawsze o czyjejs śmierci donoszę; i dzisiaj w nekrologii z ubiegłego tygodnia wpisać muszę nazwisko dobrze znane, starego komika, artysty naszej sceny, której czterdzieści lat wiernie i wytrwale służył, s. p. Michała Chomińskiego. Umarł prawie nagle i niespodzianie w sześćdziesiątym szóstym roku życia a z tych pięćdziesiąt poświęcił scenie i sztuce dramatycznej.

Pierwsze kroki stawiał na deskach teatralnych w Lublinie pod kierunkiem ojczyma swego Tomasza Chełchowskiego, potem z bratem Ignacym, znakomitym ongi amantem, „bożyszczem kobiet”, jak mówi o nim Estreicher, z Królikowskim i Rychterem rozwijał się i kształcił na aktora bardzo użytecznego w Krakowie, wreszcie ze „swoim ukochanym Jasiem”, przyjacielem od lat chłopięcych, a zaszczytnym kolegą w sztuce, s. p. Królikowskim przybył w roku 1846-ym do Warszawy i tu już do zgonu pozostał.

Wielkiego talentu nie miał, ale jako komik w rolach charakterystycznych bawił i rozśmieszał dwa pokolenia publiczności; aktor był sumienny, rozmilowany w swoim zawodzie, artysta całą duszą, skłonny do idealnych porywów; w starcu gorzał jeszcze młodzieńczy zapał do sztuki, umiłowanie natury, pociąg do pracy bezustannej.

Serce prawe i czyste nie znało obłudy, kochał ludzi i był przez nich kochany, uczynnością dla wszystkich jednak sobie wdzięczność i szacunek. Przez lat dwadzieścia zbierał materiały do dziejów sceny polskiej.

Szkoda człowieka dobrego, szkoda zdolnego artysty; poszedł do grobu żalowany powszechnie. Tak nie wielu już tych „starych” pozostało....

Quis.

O kształceniu władz umysłowych.

„Rozmowa utrzymuje umysł, czytanie uprawia go, lecz jedynie praca tworzenia piśmiennego rozszerza go i podwyższa...” to zdanie Bakona zostało w roku bieżącym zadane do opracowania uczennicom francuzkich szkół nauczycielek, zdającym examina na patent dojrzałości. Pisma, zajmujące się sprawami wychowania, ogłosiły kilka tych opracowań, okazujących stopień wykształcenia przyszłych nauczycielek francuzkich. Julia Rolin z Calvados napisała co następuje:

Aforyzm Bakona kreśli pewien rodzaj programu dla edukacji umysłu, wyznaczając odpowiednie miejsce trzem czynnikom najważniejszego nań oddziaływania. Że często edukacja nie umie posługiwać się niemi w stosunku należnym, że często osoba nauczająca, zwłaszcza mniej doświadczona, niepewną jest, w jakim stopniu używać ich powinna, aby działały korzystnie i podierały się harmonijnie, należy rozpatrzyć kolejno ich wpływ na umysł i skutki wzajem na siebie wywierane. Biorąc rzecz w znaczeniu dosłownem, wyrażenie: „utrzymanie umy-

słu" oznacza, że rozmowa zapewnia umysłowi trwanie w stanie dobrym: nie pozwala mu zakrzepnąć, zachowuje jego żywotność, nie wzmagając jednak sił, nie czyniąc go rozleglejszym przez rozszerzony zakres jego wiedzy, lub spotężnienie władz jego. Daje mu ona sposobność do obrabiania idei, lub faktów, które już zna, utrzymując w ten sposób jego giętkość i bystrość—przymioty naturalne, których stopnia nie podnosi, a tylko zgnuśnić, zależy im się nie daje. Można by przecież powiedzieć, że Bacon nie był dość sprawiedliwym dla rozmowy, bo gdy toczy się ona między ludźmi wykształconymi, posiadającymi przytem naturalną trafność umysłu i pewną jego powagę, może ona przynieść zyski większe, nad bierną tę korzyść, że utrzymuje w stanie dobrym to, co umysł posiada już pod względem zdobytej wiedzy i przyrodzonych swych przymiotów, oraz zdolności łatwego niemi władania.

Wprawdzie, rzecz to niemałego znaczenia, lecz nie wszystko to jeszcze, co rozmowa dać może. Prowadzona dobrze, wymaga ona poważnej pracy myśli, bo ten, kto się odzywa w towarzystwie ludzi wykształconych, zobowiązuje się niejako, jakkolwiek w milczeniu, że obudzi zajęcie lub oświeci w czemś słuchaczy. Umysł jego powinien dostarczyć mu wątko do treści takiej, która by łącząc to, pozwalała go słuchać z upodobaniem. Przedewszystkiem osoba rozmawiająca powinna być naturalną i niewyszukaną, a jednak nie pospolitą, nie płaską. Nie słuchają jej, chyba przez grzeczność, gdy się ślizga po rzeczach zbyt powierzchownie, nie słuchają jej również, chyba przez grzeczność, gdy staje się ciężko głęboką, gdy nie umiejąc się streścić, jest rozwlekłą. Dowcip żywy i oryginalny podoba się zawsze, ale musi go popierać myśl poważniejsza, bo inaczej jest on jak strzał bez celu — daje tylko huk, który prędko nuży słuchacza. Zesumowawszy to razem, wypadnie, że rozmowa, prowadzona przyjemnie, wymaga inteligencji, wiadomości, taktu, dobrego smaku, z dodatkiem uwagi i tej zręczności, która umie cieniować rzeczy wedle wieku, położenia i charakteru współrozmawiających.

Zatem rozmowa może tak wyrabiać umysł przez należyte przedstawianie rzeczy, które za treść jej obranemi zostały, jak zbogacać go przez wymianę myśli między rozmawiającymi. Wiele osób zdobyło sobie znaczne zasoby wiedzy przez obcowanie z ludźmi wyższego naukowego wykształcenia, i nawet usposobiło się w ten sposób do studyów właściwych. Godzina rozmowy z człowiekiem bystrego, spostrzegawczego umysłu, który przytem patrzy na rzeczy z wyższego punktu widzenia, może wskazać myśli naszej więcej przedmiotów, godnych uwagi i badania, niżbyśmy sami znaleźli ich sobie przez miesiące całe, jeżeli by umysł nasz nie był dość żywym i rozbudzonym do wyższej, głębszej obserwacji.

Pani de Staël, która w dziełach swoich poświęciła uwagom nad rozmową cały rozdział, bardzo zajmujący, i wybornie napisany, osiągała podobno niemałe korzyści z rozmowy ludzi uczonych, myślicieli wyższego rzędu, o których towarzystwo starała się usilnie i które umiała sobie zapewnić. W szwajcarskiej jej posiadłości, Coppet, przebywały ustawicznie osobistości wysokiej inteligencji, i gospodyni dzieliła też czas niemal w równej mierze na rozmowę i pisanie, a rozmowa dostarczała jej wciąż nowego żywiołu dla umysłu, odświeżała go i oddziaływała korzystnie na jego siłę twórczości. W rozmowie zbierała ona sobie, jak żniwiarka kłosa, myśli i spostrzeżenia nowe, tworzyła z nich sobie zapas, który porządkował się zwolna i przetrwał w pracy pisarskiej.

Ale nietylko rozmowy, prowadzone w doborowym kole przyjaciół p. de Staël, obfitowały w treść, zdolną podnieść skalę myślenia słuchającej je osoby. I ona ze swojej strony przynosiła tu umysł już otwarty dla przedmiotów, które tam poruszano, i dość silny, aby przyjąć i unieść wszystko to, co przybywało jej tą drogą.

Aby rozmowa z intelligentnymi, rozumnymi ludźmi wydawała pokrzepiającą, ożywiająca, roz-

świecającą umysł skutki, potrzeba mieć władze tego umysłu odpowiednio do niej przygotowane, zdolne pojąć to i przyswoić sobie, co rozmowa mu przynosi, i ztąd kształcające niewątpliwie wpływy towarzyskie nie mogą nigdy zastąpić poważniejszego, głębszego i—co znaczy bardzo wiele—systematycznego kształcenia się książkowego. Z drugiej strony umysł nawet dostatecznie już oświecony i wyrobiony, nie ostoje się bez szkody o sile rozmowy jedynie, jeżeli przez czas dłuższy będzie to wyłącznym źródłem zasilania go i pokarmu dla myśli. Rozmowa z natury rzeczy wyprowadza umysł nazewnątrz (en dehors de lui-même) a do wyższego intelektualnego istnienia potrzeba jest, niezbędnie, aby umysł miał swoje godziny skupiania się, pracy namysłu, zagłębiania się w pewne dziedziny myśli, łamania się z pojęciami nowymi dla niego. Czy je ma przyjąć, czy odrzucić, powinien je myślać objąć, przeważać i sformułować o nich sąd swój własny. W rozmowie umysł się rozprasza, używa sił swych rozrzutnie, przyzwyczajają się sądzić doraźnie, wydawać wyroki nie dosyć wymotywowane, a zbijany w nich, może przy wyższym temperamencie roznamiętnić się, zaślepić przez miłość własną, i przez upór w obronie zdania swego nauczyć się sofistyki, która jest w sferze myślenia najniebezpieczniejszą skalą podwodną. Rozbijają się o nią nieraz umysły bardzo szlachetne i wysokie.

Czytanie nie ma już szkopolów takich. Bacon powiedział, że uprawia ono umysł a choć wyrażenie to nie jest dość ściśle, nie mniej przez uprawę umysłową rozumieć należy nietylko zbogacenie umysłu w wiedzę, lecz że został on uzdolniony do umiejętnego sądzenia o rzeczach, do myślenia, co jeżeli się łączy z wiedzą dobrego gatunku (de bon aloi) uszlachetnia i podnosi umysł.

Nie mamy tu miejsca wykazać, w jakich to warunkach czyta się dobrze, najlepiej, bo zadaniem naszym jest poznać właściwą korzyść czytania w edukacji intelektualnej. Czytanie jest jakoby rozmową, powolnie i z rozmysłem toczoną przez nas z wyborowymi, wyższymi myślicielami. Najlepszą część myśli swoich genialni pisarze zostawili nam w książkach swych i ten najlepszy wytwór ich umysłu możemy przyswoić sobie, czytając. Nie tylko dowiadujemy się czegoś ale to coś pobudza nas do myślenia, a są pisarze zajmujący nas do takiego stopnia, że każą nam zapominać o troskach realnego naszego bytu, i ten, według Monteskiusza wielki przymiot w cenności czytania sprawdza się na wszystkich umysłach głębszych, gdy się poddadzą potężnemu wpływowi czytanej dzieła.

Oprócz faktu, że czytanie zmusza nas do niemałego już nateżenia reflexyi, wyższość czytania nad rozmową polega na prawidłowym posuwaniu się myśli, rozwijanych przed umysłem naszym. Pewna łatwość w rzucaniu słów, uderzanie na najgłówniejsze punkta, jest zaletą w rozmowie; umysł czuje się swobodnym i rozwija swoje zasoby dowolnie, gdy w czytaniu ład myśli autora, opanowywa nas i karność swoją nad umysłem naszym wywiera.

Czysta miłość prawdy i mądrości, zdrowa i dobra ciekawość umysłu jest szlachetnym bodźcem do poważnego, nauczającego czytania. Rozmowa może mieć mnóstwo i rozmaitych pobudek, wywija się z przypadkowego zbiegu okoliczności, czytanie zaś jest już rozmyślnem dążeniem do rozjaśnienia sobie wiedzy, jest z rozumu naszego wyszłem i znającym się w celach swoich pragnieniem umysłu, którego nic nie porywa tu nagle, przypadkowo, mimowolnie. Przeciwnie, do czytania przystępuje on z pełną samowiedzą swojej chęci i spokojnie odrywa się od wszelkich pobocznych względów i roztargnień. odoobnia się od nich, skupia swoje siły na jeden punkt, z którego chce, aby wyblysnęło mu światło, wystąpiła prawda, nie pytając naprzód: zali będzie dla niego słodką lub przykrą gorzką?

Ztąd już—przez te wszystkie pobudki i okoliczności, łączące się z czytaniem poważnem, korzyści jego dla umysłu, dla ducha ludzkiego, są wielkie, w wysokim stopniu kształcające i pod tym względem rzecz biorąc, Bacon miał za sobą całą

słuszność, gdy uważał czytanie za uprawę umysłu. Przenika go ono, użyźnia i siłą wpływów swoich urabia na pracowity, wytrwały, spokojny, zdolny do skupienia się, rozmyślenia, uwagi—zdolny do trudu dla idealnych jedynie nabytków.

Ale nie jest to jeszcze ostatni i doskonały już stopień rozwoju umysłu. Nakarmił się on wielkimi prawdami, i jeżeli też przetrawi je, i w ten sposób uczyni z nich własność swoją, wzmocni się i spotężnieje, przecież nie staje się jeszcze wskutek tego dostatecznie czynnym, bo nie działa samoistnie, gdyż natchnienie danem mu zostało zzewnątrz. Ciężar nabytych wiadomości może nawet być dla niego niebezpiecznym: młody umysł może się ugiąć pod nim, i aby przygniecionym nie został, trzeba mu odnaleźć samego siebie, uchwycić własną swoją istotę wśród myśli, idei cudzych. Praca tworzenia na piśmie pomoże mu do tego, skłoni, a nawet zmusi. Od dziecka, dla którego to będzie ćwiczeniem stylowem, do młodzieży z umysłem już dojrzewającym, a nawet dla osób dojrzałych zupełnie, natura otrzymanych tą drogą korzyści jest zawsze jedna i tasama. Praca twórcza wprawia w ruch umysł cały, każe mu działać samoistnie. Choć zbiór sił wielu, umysł jest przecież jednością, która posiada swoje centrum: swoją indywidualność. Ta potrzebuje być zasilana rozmową rozumną, czytaniem uważnem i dobrze dobranem, ale życiem własnem żyje ona wtedy dopiero, kiedy według woli i chęci, skłonności własnych, rozporządza się wśród rozmaitych żywiołów, zebranych sobie i w głąb swą zniesionych.

Tworząc na temat zadany, umysł młody właściwie nie tworzy—nie tworzy w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Zwraca się przedewszystkiem do wspomnień, wywołuje sobie przed pamięć zdania czytane, lub słyszane, zestawia ze sobą, porównywa je, przyjmuje te, które mu się najcenniejszymi być zdają, i w ten to sposób zaczyna wyrabiać sobie przekonania osobiste na podstawie namysłu nad przedmiotem, który opracowywa. Ale siła jego wzrasta już przez to, że sam zgromadził i postawił przed sobą pewną liczbę myśli, lub faktów: zbliżył je do siebie, uchwycił nić wiążącą je między sobą analogii, uporządkował je i uczynił z nich pewną całość, zorganizowaną przez siebie—jednym słowem: nauczył się wśród tej czynności myśleć sam przez się i myśleć właściwym mu sposobem, to jest oryginalnie.

W piśmiennych wypracowaniach, którymi posługuje się edukacya, twórczością już jest to, że umysł zdobył się samodzielnie na zaprowadzenie niejakiego ładu w nabytych wiadomościach, potrafił dojść od skutku do przyczyny, naprzykład od czynu historycznego, czy moralnego, do zasady, która go tłumaczy. Gdy to znajdzie się w zadaniem wypracowaniu, już cel jego został osiągnięty—rozpoczęła się oryginalna praca myśli, umysł wszedł na drogę tego kształcenia się, które rozszerzy go i podwyższy w miarę sił przez naturę mu danych.

Inna z młodych aspirantek, Amelia Benoit, wśród bardzo podobnych uwag nad rolą wypracowań piśmiennych w pracy kształcenia się umysłu wyraziła przekonanie, że pisanie dziennika, zalecane w edukacji dawnej, miało swoją podstawę pedagogiczną poważnego znaczenia. Jakkolwiek codzienność spisywania wrażeń doznanych, prowadziło rzecz do spowszednienia, niemniej czyn własny, fakt jakiś, którego się było świadkami czy wzruszonymi, czy interessowanymi, inaczej się nam przedstawia, gdy jesteśmy sam na sam z myślą naszą, gdy spisany ma wystąpić do nas z papieru. Autorka opracowania myśli Bacona radzi też młodym nauczycielkom, jeżeli już nie prowadzenie dziennika, to choć pisanie pamiętników pedagogicznej swej działalności. Wyjdzie jej w każdym razie z tej pracy pióra niejedna dobra nauka, przyspieszająca doświadczenie, które jest wielką pomocą w zawodzie nauczycielskim. Urabianie go sobie w ten sposób nie dopuści, aby zeszło do prostej rutyny jedynie.

GASNAĆ DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Mówiono o Niewiadowiczu, że potrafiłby z rękawa wytrząsnąć codziennie materiału na trzy numera gazety, gdyby mu od wiersza płacono.

Z twarzą śledzinnika trzymał się, jak zawsze, kątów bezwasy, blade i niezgrabny Mazalski, „zapoznany geniusz”, który od pięciu lat malował wielki obraz historyczny z epoki króla Olbrachta, ale przyciśnięty do muru, nie byłby się zdecydował odpowiedzieć, czy bohater jego pannał przed czy po Janie Sobieskim.

„Wesoła figura” tego towarzystwa był wysoki przystojny, rudawy trochę Wojtek Drała, karykaturzysta i rysownik humorystycznych szkiców, który odznaczał się wszystkimi zaletami i wadami młodego „cygana” w gronie tej artystyczno-literackiej bohemy.

Reszta gości stanowiła tylko tło, na którym wypuklały się wybitniejszylwetki tych kilku pierwszorzędných postaci.

Byli tam współpracownicy rozmaitych pism, nazywani najwymyślniejszymi pseudonymami, i tacy, o których talencie, pracach i kwalifikacjach pisarskich trudno było coś określonego powiedzieć, rodzaj ciurów literackiego obozu, co się włóczą za główną armią i udają żołnierzy; byli partacze, mianujący się głośno artystami, choć świat nigdy ich dzieł nie oglądał i oglądać nie miał, były wreszcie figury bez tytułu i pretensji do literatury i sztuki, które odgrywały rolę komparsów w tym zawsze ruchliwym obrazku, a których jedyną ambicją było zbliżyć się i żyć z tym światem, pana redaktora prowadzić pod rękę, tykać się z Bzikiewiczem lub Drałą, podsłuchać konceptów Niewiadowicza lub ploteczek Rimmla i powtarzać to potem w sferach filisterskich.

— *Ça pose*, — jakby powiedziała ks. Jadwiga, nie cierpiąca zarówno burzoazy, jak literatów i przypinająca im często przy sposobności złośliwe łaski.

— Wezmą oni mnie drugi raz na kostiumy! — mówił Pszonka — dla tych świecących łachów narażałem moje sadło, moje zebra i moje nagniotki, musiałem pić Schweinfurtera, którym mnie chciał otruć hr. Artur za mój ostatni artykuł o jego mówce sejmowej, musiałem wysłuchać przy akompaniamencie kadryla z „Pięknej Heleny” rzewnych skarg na tromtadracy i ze starym Umizgalskim kontrolować, która z dam miała szczerpioną oszę. Piękna zabawa!... trzeba ją w „Świstku” uwiecznić madrygałem. Niewiadowicz, ty mógłbyś to napisać.

— Ja? — obruszył się zagadnięty — ja pisuję tylko tam, gdzie mi płacą, a *Świstek* niema u mnie kredytu i dlatego nie pożywił się ani jednym moim wierszem dotychczas...

— Ja też za karę rozpowiadam, że wszystkie najzłośliwsze artykuły są twego pióra; — broń się potem! — przerwał mu Pszonka z chrypliwym zduszonym śmiechem, od którego mu twarz sponowiała i oczy łzami zasły.

— Już to przynajmniej trzeba, panie redaktorze — słodkim głosem odezwał się Rimmel, przekrzywając swoim zwyczajem głowę na lewe ramię — że pięknych kobietek na balu nie brakło... co?... jedna w drugą do malowania.

— Do portretowania, powiedz pan raczej — dociął mu złośliwie Niewiadowicz. — Przyszła się pan, panie Van-Dycku, że wziąłbyś był tak hurtem całą salę w entrepryzę i portrecik w portrecik chlasnął po dziesiątce?... prawda?

— Już mi pan dobrodzieju znowu przymawia?... co?... a to wieczny figlarz z pana Telesfora!...

— A wiecie która była z dam najpiękniejszą?

— przerwał nagle Drała, podnosząc rękę do góry, dla zwrócenia ogólnej uwagi uwagi.

— No, która? która? — odezwało się z zajęciem kilka głosów. — Bzik, Bzik — ty powiedz, jako specjalista!

Bzikiewicz przerwał swoją artystyczną wędrówkę po ciupce i na najwyższej nucie tenorowej palnąwszy koguta, odrzekł krótko:

— Morellowa — poczem dalej próbował wydobyć wysokie *C* z piersi.

— Proszę cię, nie piej, bo już dawno po północy — zawołał Pszonka. — Ale... widzieliście też Zyzia Pielskiego? — spytał nagle, zwracając się dokoła, jakby tą wiadomością spodziewał się wywrzeć nadzwyczajny efekt.

— Ba!... któżby go nie dostrzegł.

— Musiał chyba przejść na mahometańską wiarę, albo został kacykiem jakiego pokolenia.

— Po co on chodził na pustynię?

— Pokutować za grzechy zapewne i pościć.

— Eh, chyba nie po to — wtrącił Niewiadowicz — mnie się zdaje, że on tam powędrował jak ten Arab z bajki szukać worka z dyamentami, skoro mu już domowej kaszy nie stało, ale się zawiódł.

— Dajcie spokój, znalazł on sobie inny dyament dzisiaj — przerwał Bzikiewicz, mlaskając głośno językiem — nie widzieliście przecież, jak się przypiął od samego początku do Morellowej? Na krok jej nie odstąpił. Może się założył o kolejkę ponczu, że za trzy dni będzie miał z nią rendez-vous w ogrodzie jezuickim?... trzymam. Dobrze tak Filipkowi!... Już go ten Zyzio urządzi, cha, cha, cha!...

Całe towarzystwo zawtórowało mu śmiechem; posypały się dowcipy i uwagi, nie bardzo stosowne, w których rozzuchwalony Bzik rej wiódł i sadził się na koncepta o tyle nie smaczne, o ile lekkomyślne.

— Wiecie co? — mówił, łyknąwszy spory haust ponczu — taka żona, to doskonały szyld, przy niej można zrobić karierę. Więcej mu ona rozgłosu przysporzyła, niż cały jego okrzyczany talent. Takiemu to dobrze!...

— Kto tak mówi, jest głupiec albo podły! — do wyboru — zagrział nagle z kąta pod piecem głos Szaleja.

Od chwili rozpoczęcia rozmowy o Filipie, poeta czapkę nasunął na oczy i zaczął się przysłuchiwać z zajęciem; w miarę rozwiązywania się języków, zajęcie to rosło a z nim tłumione oburzenie i wściekłość.

Ta nagła interwencja Szaleja, którego przyzwyczajono się nie uważać w ciupce, zrobiła wrażenie nadspodziewane; uciszono się przez chwilę. Bzikiewicz pobladł, jak ściana, usta otworzył i nie mógł zrozumieć z początku, do kogo odnosiła się ta apostrofa, która jak garsć piasku rzuconego w twarz, oszłomiła przez chwilę całe zgromadzenie.

— Co to znaczy? kto to powiedział? — zapytał nagle Pszonka, powstając ciężko z siedzenia.

— Ja! — wrzasnął Szalej, wychodząc na środek pokoju i zgrzytnąwszy zębami. — Ja, do tych, co tak mówią i do tych, co tak słuchają... No, cóż?... komu się to nie podobało?

Powiódł zmrużonymi oczyma po wszystkich wyzywająco i przystąpił bliżej do stołu; szmer lekceważenia przystąpił się po ciupce.

— Eh, Szaleju!... pijaczyna — mruknął ktoś pogardliwie na uspokojenie siebie i drugich; zaczęto się odwracać od niego, jak od kogoś, co nie zasługuje nawet na odpowiedź.

Żyłasta pięść poety spadła na stół, jak młot, pod którego uderzeniem podskoczyły wszystkie niedopite szklanki i dzwienneż złoowego.

— Tak, głupiec — to ten! — zawołał, wskazując palcem wprost na Bzikiewicza — a podli to wy, którzy mu pozwalacie bawić się kosztem człowieka uczciwego i honorem kobiety, którzy sobie wecujecie języki na cudzej sławie, za przykładem takiego młokosa!... Wstyd!... hańba!... tfu!

Dalsze słowa zagłuszył gwar i krzyki.

— Co to znów!... coza śmiałość! patrzcie go... śmie obrażać porządnych ludzi!... a jemu co do tego? Jeszcze czego!... wyrzucić pijaka za drzwi. Dołkowski, panie Dołkowski!

Bzikiewicz z drugiej strony stołu stał drżący

z gniewu, blade, z zaiskrzonymi oczyma, dyszący wściekłością i pragnieniem zemsty; nagle wyciągnął rękę i instynktownie uderzył nią w twarz Szaleja, lecz w tej samej chwili rozległ się rumot przewróconego stołu, brzęk potłuczonego naczyń i ponad głowami towarzystwa zawisło w ręku poety krzesło, jak piorun, który miał spaść na brutalnego młodzika.

Słychać było krzyki oburzenia, obelgi, wołania służby, ponad którymi górował rozpaczliwy głos Dołkowskiego, rozkrzyżowanego przed lustrem w złoconych ramach.

— Panowie, panowie! tylko mi lustro nie rozbijcie!... na miłość Bożą bez awantur, w moim lokalu nie można robić takich skandalów! to nie szynk przecie. Panowie, lustro!...

W pięć minut później poszarpany, zgrzytający zębami Szalej bez czapki, z rozdartym kołnierzem u koszuli znalazł się na ulicy.

Większość zwyciężyła, jak zwykle; obrona przyjaciela wobec złośliwych potwarców i zawistnych szyderców kosztowała go drogo.

Całe zajście w kawiarni wytrzeźwiło go w jednej chwili; mróz przejął go do kości, dygocąc od zimna czy z moralnego i fizycznego wysiłku, włókł się ulicą, a przez zacisnięte zęby od czasu do czasu przeciskał się tylko jeden wyraz:

— Pijaczyna!... pijaczyna!... — powtarzany, jak jęk zranionego człowieka.

IV.

Pan prezes Szeliwski pomimo siwizny swojej i lat sześćdziesięciu prawie należał do tych, o których młodsze kobiety mówią:

— To musiał być piękny mężczyzna! a starsze, przymykając oczy, jakby chciały lepiej spojrzeć w odległy świat własnych wspomnień, odpowiadają z westchnieniem zagadkowym:

— O tak!...

Regularne rysy jego zachowały pomimo wieku późnego kształtność linii, oczy — spojrzenia żywe i bystre, podniesione obramieniem ciemnych brwi, które się dotąd jedynie siwiznie nie poddały, usta, pewien wyraz dystynkcji i świeżości, zwłaszcza w uśmiechu odślanającym nad podziw białe i równe zęby starca.

Prezes należał do tak zwanych starych elegantów, którzy się pewnych pretensji młodości nie wyrzekają; uważał się zawsze jeszcze za kawalera, zwłaszcza w towarzystwie dam i z pewną wdzięczną zalotnością, która nie miała w sobie nic śmieszego, układał swe srebrzone włosy, rozdzielenie nad czołem i wpinał zawsze świeży kwiatek w butonierę surduta, skrojonego rękoma pierwszorzędnego krawca w mieście.

W całej powierzchowności, manierach, sposobie mówienia znać było człowieka dobrej sfery, wychowanego i urodzonego *comme il faut*, jak powiadano w towarzystwach, które pan prezes obecnością swoją zaszczycał.

W popielatej *bonjource* podbitej niebieskim atłasem, w pantoflach perskich wyszywanych złotem szychem, z fularem zawiązanym z fantazyą na szyi, wygolony od samego rana czyściutko, Szeliwski siadywał codziennie do śniadania, które kawalerskim przyzwyczajeniem sam sobie przygotowywał lubił.

Służący nastawiał maszynkę do kawy, rozkładał wszystkie przybory, przysuwał fotel na bieżniach do stołu i usuwał się dyskretnie z salonu, kiedy pan jego zapalał spirytus i brał do ręki poranne dzienniki, by zobaczyć, „co się w Europie dzieje.”

Od powrotu siostrzeńca z zagranicy prezes miał stałego towarzysza przy stole.

Pielski zajął w apartamencie wuja dwa pokoje i dzielił z nim kawalerskie życie z wszystkimi jego przyjemnościami.

— Powiem ci — mówił prezes nazajutrz po pierwszym wieczorze u pani Okulskiej do Zyzia, nalewając mu własną ręką śmietankę z porcelanowego dzbanuszka do kawy, ugotowanej przed chwilą — że jesteś niepoprawnym bałamutem, mój chłopcze. Patrzałem wczoraj na ciebie ze zgorzzeniem. *Toujours le même.*

Pielski uśmiechnął się, i udając zdziwienie, zapytał:

— No, cóż takiego zgorszyło tak bardzo pana prezesa?

— Przysiadaleś się w sposób tak obcesowy do pani Heleny, naplotłeś jej tyle andronów, magnetyzowałeś biedaczkę swojemi spojrzeniami przez cztery całe godziny, że chyba całą noc potem zasnąć nie mogła. I w jakim celu to wszystko?

— W żadnym, jak zwykle.

— Powtarzałeś mi to tyle razy, a jednak...

— Cóż jednak?

— Rezultaty inaczej świadczyły. Mój kochany, przypominasz mi bajkę o chłopcach i żabach. „Dla was to jest igraszka, im idzie o życie“... My dawniejsi nie byliśmy także bez grzechów, ale mieliśmy jedną cnotę, której wam dzisiaj brak: bałamucąc kobiety, bałamuciliśmy sami siebie, wierzyliśmy choćby chwilowo w szczerłość naszych uczuć i namiętności, bywaliśmy jeśli nie zakochani, to zaturzeni, a wy młodzi Don-Juani bałamucicie na zimno, z wyrachowaniem strategików, którzy wiedzą z góry kiedy, jak i pod jakimi warunkami zdobędą tę lub ową twierdzę. Te strategiczne manewry więcej was zdają się bawić i zajmować, niż całe zwycięstwo.

— Być może — odparł Zyzio — zmienia się forma odwiecznego tematu, z którego wyście wujaszku robili melodramat, a my robimy komedię. Wszystkiego w życiu nie można brać poważnie; dalekobycyśmy zaszli z taką teorią!...

Prezes spojrział na siostrzeńca z politowaniem.

— Więc według ciebie — rzekł — romans z mężatką może być tylko przyjemnym żartem, salonową zabawką, tak jak gra w sekretarza, albo w cenzurowanego?

— Tylko przyjemniejszą i bardziej zajmującą. Powiedz mi wujaszku: o czym ja mam rozmawiać z taką piękną kobietą, jak pani Helena, jeśli nie o tem, że mi się podoba?... Upewniam pana prezesa, że każdy inny temat znudziłby ją po pięciu minutach rozmowy; z konieczności musimy tedy pozostać przy tym jedynym temacie, który ją zajmuje, a że on bywa najniebezpieczniejszym w swoim teoretycznym i praktycznym rozwoju, cóż ja temu winien jestem? Przecież nie mogę narazić mojej sławy na to, by przy mnie piękna kobieta ziewać zaczęła.

Szeliwski ręką machnął.

— Sofista z wasana i cynik w dodatku.

— Dziękuję; i to dwie szkoły filozoficzne — odrzucił Pielski, skłaniając głowę z uśmiechem — przynajmniej wiem, że mnie wujaszku do głupców beznymyślnych nie zalicza.

Prezes podał siostrzeńcowi koszyk z grzankami, mówiąc:

— Mój kochany, zatkaj sobie bluźniercze usta i nie irytuj mnie przed kawą.

— Wujaszka to irytuje?... ach, prawda, zapominałem, że pani Okulska zwerbowała sobie od owego pamiętnego balu wernego muszkietera w pana prezesa dla siebie i dla swoich córek...

— Mój Zyziu!...

Prezes zrobił minę lekką urażoną.

— *Mieux vaut un mousquetaire, qu'un braconnier* — wtrącił ze znaczącym spojrzeniem.

— O, przepraszam, tym razem nie przyznaję się do tego drugiego zawodu; jestem nawet na drodze zupełnej poprawy, na którą wprowadził mnie widok... panny Klary.

Szeliwski roztworzył oczy szeroko ze zdziwienia.

— Co takiego?

— Tak, tak, — panna Klara podobała mi się wczoraj nadzwyczajnie, i kto wie, czy jeśli częściej będzie miała taką muszkę na buzi, nie spróbuję oświadczyć się mamie i — wujaszku, będziesz musiał zmienić o mnie opinią!... Ustatkuję się w małżeńskim stanie.

Szeliwski ramionami wzruszył.

— Ty i żona, żona własna?!... daj pokój, za daleko żart posuwasz, a przedewszystkiem nie przekonasz mnie, aby najkrótsza droga do serca panny była przez serce jej zamężnej siostry.

— Któż tu mówi o sercu?... pani Helena poznała za męża także bez miłości, sama się z tem wygadała przede mną.

— Winszuję panu mężowi — odezwał się pre-

zes — rozumiem teraz, dla czego go dotychczas tak mało przy żonie widziałem. Czemże na prawdę jest ten pan Morelli?

— Jakto, wujaszku żyjesz w mieście i nie wiesz, kto jest Morelli? — zawołał z udaną zgrozą Zyzio, podnosząc ręce do góry. — Otóż to są skutki zasklepienia się starokawalerskiego, zajmowania się tylko polityką i maszynką do kawyl — Urwisie, wymawiasz mi kawę, a smacznie ją spijasz codziennie!...

— Jakżeż można nie znać polskiego Michała-Anioła?... ja wprawdzie sam dopiero od kilku tygodni wiem coś o nim...

Prezes się skrzywił.

— Więc to rzeźbiarz, powiadasz?... o, żal mi biedaka. Także sobie wybrał zawód u nas!... Poczekaj, poczekaj — teraz sobie zaczynam przypominać to nazwisko; pisano o nim coś w gazecie przed rokiem, ale mi to z głowy wypadło. Wiesz, że sztukami pięknymi mało się teraz zajmuję.

Zmieniając nagle tok myśli, dodał:

— Ale to tam musi być krucho u nich? jeżeli on tylko dłutem i talentem żonę utrzymuje, to nie zazdroścę.

Zyzio zapalił papierosa, i puszczając zgrabne obrączki z dymu, odparł:

— Zapewne; przypuszczam, że głównie matka dopomagać musi, a wnioskuje z całego przyjęcia wczorajszego i urządzenia domu, wdówka musi być ciepłą, a panny posażne. On sam, wydał mi się dziwakiem, — dzikus jakiś, ma minę cygana w salonie, źle mu z oczu patrzy.

— A żonę bardzo kocha? — spytał prezes.

— Nie wiem, co mnie to może obchodzi?... że ona jego nie kocha, pozwalam sobie nie wątpić i nie dziwię się wcale. Przystają do siebie, jak garnek z sewrską filiżanką. Biedna kobieta!

Prezes palcem mu pogroził:

— No, nol... tylko się za bardzo nie lituj nad nią; to najniebezpieczniejsze uczucie przy mężatkach, bo od niego zwykle się inne zaczynają. Ale prawda, u ciebie o uczucia niema obawy. Podobno przyrzekłeś tym paniom dziś popołudniu swoją wizytę? — spytał, powstając z fotelu i zbliżając się do Zygmunta.

— Tak, obiecałem pokazać pani Helenie talizmany z Medyny a pannie Klarze przynieść arabski do haftu. Zobaczysz, wujaszku, że dostaniecie jeszcze poduszkę, lub serwetę w upominku, wyszywaną rączkami mojej ewentualnej żony.

Prezes go za ucho zlekka pociągnął.

— Pójdę z tobą, urwisie — rzekł — nie spuszczać cię z oka; poczekaj, będziesz miał ty w wujaszku zandarma, nie pani Okulska muszkietera.

I śmiejąc się, prezes wyszedł do swego pokoju dokończyć ubrania.

Zyzio, kołysząc się niedbale w fotelu i paląc papierosa, utonął pozornie w myślach; naprzeciw niego pod ścianą stało duże lustro w dębowych rzeźbionych ramach, sięgające do ziemi; przyglądał się w niem i uśmiechał z zadowoleniem do siebie samego.

Studyował się, jak dobry aktor w zwierciadle, korzystając z nieobecności wuja, i badał z wytrawnością kokietyki siłę swego spojrzenia, uśmiechu, pozy, wyrazu twarzy.

Ten zwycięzki lew salonowy, bohater wszystkich serc i wszystkich względów, uczył się swojej roli, jak zwyczajny historyon przed widownią, aby olśniewać potem kobiety.

Examin wypaść musiał zadawałajaco, bo Zyzio sprężystym ruchem powstając z fotelu, przyłożył dwa palce swej kształtnej, długiej, wydłużonej ręki, rzucił sobowtórowi swemu w lustrze całusa na pożegnanie i pośpiewując, wyszedł z pokoju.

Popołudniu dnia tego w salonie mamy Okulskiej wśród kwartetu głosów kobiecych odzywał się dźwięczny baryton Pielskiego; niezrównany *charmeur* salonowy w zachwyt wprawiał mamę z córkami opowiadaniem przygód swoich podróży po Wschodzie.

Prezes w milczeniu podziwiał również swą siostrzeńca, ale od czasu do czasu uśmiechał się znacząco i spoglądał badawczym okiem na kobietę, jakby chciał się przekonać, na której też dostrzeże najwięcej wpływu i wrażenia wywarłego przez Zyzia.

Pani Helena miała pewną wymuszoną swobodę tym razem; po raz drugi w ciągu jednej doby spotykał ją prezes bez męża w domu matki, a sprytem doświadczonego znawcy ludzi domyślił się przyczyny.

— Tu czuć kwasek familijny — mówił do siebie — trzeba by tę rzecz lepiej zbadać.

I przysiadł się z drugiej strony do Morellowej, obok której zajmował miejsce Zyzio, dający koncert *en petit comité*; wymowniejszy był, niż zwykle, i w wyjątkowym humorze.

— Takiego męża trzeba ci było! — szepnęła po raz drugi Okulska do ucha zasłuchanej córce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA SŁÓW O KOBIECIE ŁUŻYCKIEJ

skreśliła

Melania Parczewska.

(Dokończenie).

Podobne uczucia budzi między rodakami druga kobieta Łużycka, Emilia Imiszowa, żona znanego patrioty Łużyckiego, Fryderyka Imisza, pastora z Hodzija. Imiszowa jest pierwszą, i jak dotąd, jedyną, Łużycanką poświęcającą się literaturze. Poetyczne jej utwory drukowane w czasopiśmie Macierzy i innych Łużyckich pismach, jakkolwiek nie ukazują talentu wysokiej już skali, mieszczą jednak iskry prawdziwej poezji, wdzięczną formę a przedewszystkiem wielkie, bez granic przywiązanie do ziemi rodzinnej. Emilia Imiszowa z domu Pfulówna, urodziła się w wiosce Przyszecce, położonej w bliskości Budyszyna. Rodzice jej zaci, poczciwi Serbowie, widząc w dziecinie większe zdolności i zamiłowanie do nauki, po ukończeniu wiejskiej szkółki, oddali ją na pensję do Budyszyna, gdzie przecie nie była zostawiona bezbronnie na wpływy niemieckie, na oddziaływanie przyjaźni, zawartej z niemieckimi towarzyszkami. Uczęszczający do gimnazjum budyszynskiego brat Emilii, Bohuwier Pful, późniejszy autor słownika Łużycko-niemieckiego, i znany wśród narodu swego patriota, otoczył siostrę troskliwą pod tym względem opieką. Była to epoka, w której młodzież, idąc za radami bawiącego podówczas w Lipsku Jana Ernesta Smolera, zakładała różne stowarzyszenia. Na czele jednego z nich stanął młody Bohuwier i obcując często z takim bratem, młoda dziewczeczka wsłuchiwała się w różne opowiadania, o przeszłości ubogiej swej ojczyzny. Pieśni słyszane, rozmowy pełne zapału młodzieży, z którą żył jej brat i czasem zapraszał do domu w czasie wakacyjnym, rozgrzewały jej serce. Każda nuta patriotycznej epepej opowieść długich i dotąd tylko smutnych dziejów, drgając żywym tętnem uczucia, odbijała się w jej sercu.

Czasy były też gorące, jakiś powiew nowy niósł technienie zapału, przewiewając wskroś uciśnionych ludów słowiańskich. Łużycanie nie dozwolili innym wyprzedzać się w dążeniach do wyższych idei i celów. Wówczas to młody skromny nauczyciel wiejski Kocor, (dzisiaj znany Łużycki muzyk i kompozytor), powziął myśl, aby na zgromadzeniu studentów urządzić pierwszy Łużyckich utworów złożony koncert. Taki koncert nie miał wyłącznie na celu popisu amatorów. Biorącym udział nie szło o zaprodukowanie skali swego głosu, modne toalety, lub zjednanie oklasków zgromadzonej publiczności. Tu inna, wyższa idea, była bodźcem. Łużycy Serbowie chcieli usłyszeć publicznie z estrady koncertowej zanucone „Hiszce Serbstwo ne zhrubieno!“ Emilia, już teraz dorosła i przebywająca w domu rodziców na wsi, była tą śpiewaczką, która pierwsza zaśpiewała głośno, publicznie tę pieśń drogą Łużycanom. Od tej chwili corocznie na każdym zgromadzeniu Macierzy urządzają Serbowie podobne koncerty, lecz pamięć pierwszego nie zatarała się

dotąd w żyjących jeszcze jego słuchaczach. Wspominają o nim z rozrzewaniem, opowiadają jak iskra elektryczna zapału przeniknęła wszystkie serca i uderzyła namiętnem upojeniem do głowy. Gdy młoda, piękna dziewczyna zdająca się być uobieniem ich drogiej krainy stanęła przed niemi na wyniesieniu i pełnym, dźwięcznym głosem rzuciła w powietrze te słowa: „Hiszce Serbstwo ne zhrubieno!”

Odtąd corocznie szlachetna śpiewaczka śpiewała do Budyszyna powtarzać ten śpiew ludowi swojemu, lecz nie na tem polu zjednała ona sobie uznanie narodowe. Działalność jej, jako kobiety obywatelki, zaczyna się głównie od chwili, w której została żoną czcigodnego Ferdynanda Imisza. Odtąd, jako wierna i nieodstępna jego towarzysza dzieli z nim wszystkie trudy i zawody życia i podobnie jak mąż, jest wzorem i przykładem dla całej okolicy, lecz wpływ obojga sięga o wiele dalej. Fryderyk Imisz, zwany wzdardliwie przez Niemców łuzycykim papieżem, należy dzisiaj do rzędu najgorliwszych i najczynniejszych ludu swego odrodzicieli. Że takie życie wobec warunków w jakich znajdują się Łużyce, przynosi za sobą morze cierpień i zawodów, a często nawet upokorzeń i żalów, wątpić nie można. Obowiązki pastora licznej bardzo parafii i udział w wielu stowarzyszeniach, pochłaniają znaczną część czasu człowieka prawie dnie całe. Oprócz współpracownictwa w pismach łuzycykich Imisz wydaje jeszcze łuzycykie książki do nabożeństwa i różne modlitewniki dla ludu łuzycykiego, protestanckiego wyznania. W pracy tej żona jest jego jedyną pomocą i sekretarką. Przepisuje potrzebne rękopisma, tłumaczy zobczych języków, lub prowadzi korektę prac przygotowanych do druku. Lecz tasama ręka, która na innem polu pracując, umie siaść tam kwiaty poezji, w domu przykłada się pracowicie do skromnych dzieł gospodarstwa skrzętnie, bo oszczędnie prowadzonego.

A nie mało tu jest trudu i zajęcia, bo nieraz trzeba się tu troskać o liczną dróżykę domowników. Młodzi teologowie, kształcący się na przyszłych kierowników łuzycykich parafii protestanckich, zwykle na plebanii w Hodziju spędzają wakacje, uprawiając się w łuzycyki język. Tutaj to właśnie, młodzież ta, mając w pastora Imiszu wzór, jakim powinien być kapłan, wierny syn kościoła i ziemi swojej, w zacnej jego żonie znajduje prawdziwą opiekunkę. Uboga, niezasobna młodzież gimnazjalna, która nieraz bez grosza w kieszeni, a z pełną zapału i nadziei piersią pracuje dla dobra swej małej krainy, z rozrzewaniem wspomina o chwilach, spędzonych w zacnym i gościnnym domu Imiszów. W samej rzeczy, po przestąpieniu jego progów otacza przybysza dziwnie błoga atmosfera: harmonijne połączenie cichych domowych cnót, ze wzniosłym zrozumieniem wielkich idei i ciężących na każdym uczciwym obywatelu obowiązków.

Rodzinę Imiszów oddawna bardzo łączyła ścisła przyjaźń z Janem Ernestem Smolerem i pozostała po nim wdową. Ernestyna z Heiselmannów Smoler, przez matkę Serbka, choć z ojca Niemka, wychowana w otoczeniu niemieckim, czuła jednak w żyłach krew serbską i wyszła też za mąż za Serba, którego gorąco ukochała. Praca jego i poświęcenie się dla sprawy ogółu wyrobiło dlań cześć i bezgraniczne uwielbienie w duszy żony, a uczucia te zbudziły jej w sercu uspięne i dawno zapomniane wzruszenia. Pod ich zaklęciem przypominała sobie, że i jej kiedyś nad kołyską matka serbskie nuciła piosenki, a pierwsze słowa wyrzeczone przez drobne dziecinne usta były modlitwą poserbsku do Boga zanoszoną. Szczęśliwej, kochającej żonie, zapatrzonej w ideał obywatela, przedstawiający się jej w ukochanym małżonku, drgnęło też serce w piersi. Zawstydziała się swego zapomnienia i od tej już chwili, choć źle, bo z akcentem niemieckim, ale zawsze mówi już tylko połużycku, połużycku czuje i myśli. Olbrzymiej pracy i działalności człowiek, trapiący niedolą współbraci: schorowany od nieustających nigdy trudów i niewygód życia, znalazł w niej wierną i rozumną towarzyszkę. Wykształcenie Smolerowej ani w części nie odpowiadało nauce męża. Przez miłość jednak dla niego, wyrobiła się tak i pod-

niosła duchowo, że z każdą myślą, czy-to odnoszącą się do polepszenia losu współbraci, czy w jakiej literackiej kwestyi, Smoler zwierzał się zawsze żonie. Wszystkie aspiracje tej pięknej, szlachetnej duszy umiała odczuć i zrozumieć. Tylko bliższa znajomość jej życia, jej rodzinnego bytu może pozwolić na słuszne ocenienie jej poświęcenia i miłości. Smolerowie byli ubodzy. Dochody, jakie przynosiła drukarnia i utrzymanie Domu Macierzy Serbskiej, były bardzo skromne, na redaktorstwie i wydawnictwie pism ludowych Smoler nic nie zarabiał, przeciwnie tracił—puszczając je w świat jak najtaniej, byle tylko lud mógł czytać i brać w piers to, co tam znajdował. Żona jego od chwila wyjścia za mąż nie trzymała nigdy służącej, sama spełniała najgrubsze, najprostsze roboty. Obsługiwała nie tylko ukochanego męża, ale i dzieci jego z pierwszej żony, zecerów i dom cały. Prała i gotowała dla wszystkich. Lecz jedynie tak ułożone życie, podtrzymywane kosztem jej sił i zdrowia, pozwalało mężowi spełniać chwalebne cele i być aniołem stróżem serbskiej myśli narodowej. Jako matka przybrana dla pasierbów jest wzorową.

Może niejedną z czytelników *Bluszczu* przypomni sobie chwilę w której dwaj zaci patryoci łuzycy, Smoler i ksiądz Hornik w r. 1881 przybyli do Warszawy kołatać do serc bratnich o pomoc. W wycieczce tej towarzyszyła, jak zawsze, Smolerowi żona. Wówczas nikt z gości licznie odwiedzających serbo-łuzycykiego literata w małym pokojku Hotelu Drezeńskiego, nie domyślał się, jakie ubogie pędzili oni życie. Bawiąc kilka miesięcy w Warszawie, do minimum musieli sprowadzić swoje, i tak już skromne, wydatki. Ta uczciwa, ta dobra żona, co rano wychodziła nad Wisłę i tam, nietylko czyniła z pierwszej ręki zakupy żywności, ale od przybywających wieśniaków dla tanioci kupowała wiązki drzewa i pod okryciem niosła przez miasto do domu. Lecz za to mogła spełniać bez rozgłosu najszczytniejsze dzieło małżonki człowieka, poświęconego sprawie ogółu, przykładając w ten sposób rękę do jego wielkiej pracy. Łużyce są kraikiem malutkim: niejedną więc usmiechnie się na umieszczony tu przymiotnik wielkości, ale wielkość tkwi w idei, która jest czynu motorem, nie zaś w czynu rozległości i, dla nas zwłaszcza, niebezpiecznie jest używać innej skali dla obrachowywania proporcji.

Takim było od czasu wyjścia za mąż i jest jeszcze dzisiaj życie Ernestyny Smolerowej. Obecnie, przybrana we wdowi czepek, smutna i pognębiona, krząta się ona po pustym dla niej, kirem okrytym domku. Niepocieszona po stracie męża, tak w liście do blizkiej znajomej opisuje swoje dzisiejsze położenie. „Niema już tego, który był dla mnie wszystkim, zgasło mi moje słońce, lecz żyć jeszcze pragnę, bo chcę pracować dla myśli i idei, którą on poruszył i z popiołów wygrzebał.”

Mieszkając przy pasierbie, który po śmierci ojca prowadzi drukarnię i redakcję „Serbskich Nowin“ Smolerowa w chwilach wolnych od zajęć gospodarskich wybiega poza miasto do kobiet łuzycykich, rozmawia z niemi, budzi w piersi uczucia szlachetne i zachęca do składania drobnych oszczędności na rzecz Domu Macierzy. Dla Smolerowej dzisiaj świat cały zamknął się w tej jednej myśli i nadziei ujrzenia kiedyś, choć na chwilę przed zgonem, takiego Domu Macierzy, któryby w swoich murach pomieścił wszystkie, drogą krwawej, usilnej pracy zbierane skarby i zasoby ubogiej ojczyzny.

To są trzy wybitne postacie Serbek Łuzycykich. Ogół ich kryje w swej piersi najczystsze, najszlachetniejsze zasoby uczuć, do których nie ma jeszcze przystępu licha próżność jaśnienia przez strój i elegancją, udającą pańskosć. Cnotą ich jest oszczędność i pracowitość; uprzejmość jaką wita przybyłego w dom gościa charakteryzuje Łuzycankę. Prostota nie odejmuje jej wdzięku, przeciwnie, podnosi go, i pozwala odbić się wyraźniej przy wystrojonej a grubiańskiej Niemce

Jakkolwiek ciężka, przygniatąca atmosfera przewagi niemieckiej trzyma kobiety łuzycykie

w niższej sferze istnienia, jednak przypuszczać można, że czasem, kształcąc się na wyżej przytoczonych wzorach, odpowiedzą godnie swoim zacnym i szlachetnym przodownikom.

Melania Parczewska.

Z wycieczki mojej, odbywanej przed kilku laty po wioskach łuzycykich, uniosłam niewymownie miłe wspomnienie żony nauczyciela, na nie-szczęście nie pamiętam z jakiej wioski w okolicach Budyszyna, nazywającej się z męża: Krala, Kralowa. Chciałam widzieć wnętrze szkoły, której piękny budynek, położony wśród miłego ogrodu, bardzo mi się podobał. Ale było to już po godzinach szkolnych; przecież proboszcz miejscowy, ksiądz katolicki, wprowadził mnie do środka na wielką konfuzję żony nauczyciela, młodej, bardzo ładnej kobiety, która, rozgospodarowawszy się swobodnie w obszernej, teraz pustej i wśród upału chłodnej sali, bosy—a nóżki były też ładne, białe i nieduże, prasowała sobie jakąś jasną, wedle mody łuzycykiej bufiastą spódniczkę. Mimo pomieszenia, przyjęła nas niezmiernie grzecznie, serdecznie, z gościnnością iście naszą, a gdy usłyszała z kąd przybywamy, taka niekłamana radość błysnęła w jej piwnych, dużych, słicznych oczach, że się uczyła wzruszoną. Po rozmaitych a niezmiernie wiernie w pamięci jej zachowanych wspomnieniach, o widzianych podróżnikach polskich, rzekła nagle:— Myśmy dzieć się lat byli z wami!..., a gdy ja, stropiona, nie wiedziałam, co ta kobieta mówi? słyszę, że ona ma w pamięci czasy Bolesława Chrobrego! Ucałowaliśmy się z tą Królową nad państwami wspomnień, jak dwie siostry rodzone—serdecznie, usta w usta, a dodać trzeba, że jej usteczka były jak korał, świeże, pełne i małe, najwdzięczniejszego zakroju. Twarz miała też niedużą, choć dość pełną, okrągłą, płeć białą, a jakiej jędrnej, gładkiej, jakgdyby porcelanowej, nieprzystępnej opaleniznie słonecznej. Włosy, brwi, rzęsy były ciemne i taki jest najogólniejszy typ Łuzycanki: płeć biała, gładka; piękne duże oczy jasno-piwe, złotawe; włosy ciemne, a całość bardzo słodkiego i razem wesołego wyrazu. Niemka wmieszana między Łuzycanki, zaraz wyróżnia się spośród nich i p. Melania Parczewska ma słusność, że ich wdzięk i powabność podnosi się jeszcze przy grubych rysach i ciężkich kształtach Niemki-Saxonki, z wielką płaską nogą, z wielkimi bez wyrazu oczyma, które jeszcze Tacyt podał jako rysy charakteryzujące Germanów.

Rano dnia tego, będąc w Budyszynie, gdysmy weszły do kościoła, napełnionego ludnością, bo to było w oktawie Bożego Ciała, a prowadzący nas zakrystyan powiedział kobietom, zajmującym jeden szereg ławek:— Panie z Polski!... zrobił się taki ruch gościnny, widocznie przychylny ciekawości, tak nam robiono miejsce, że się też uczuła schwyconą za serce.

Jeszcze jedna rzecz serce to wzruszyła. Łuzycanie katolicy i Łuzycanie protestanci, są zarówno ubodzy, aby mogli posiadać dwa kościoły. Ze zaś nie chcą, ani jedni, ani drudzy, dzielić Domu Bożego z Niemcami, więc jeden starożytny kościół, który pozostał w posiadaniu Łuzycan, podzielono sobie przez połowę wzdłuż nawy niewysoką, przezroczystą kratą i dwa wyznania modlą się zgodnie i bratnio w jednej świątyni. Zauważyłam, że we wsiach katolickich, któreśmy zwiedzały w towarzystwie znanego w Warszawie księdza Hornika, ludność całowała go w rękę, we wsiach protestanckich ściskano tylko tę rękę z wielkim, bardzo wielkim poważaniem. Ksiądz, to dla tego ludu nietylko pasterz duchowy, ale przewodnik i pracownik w sprawie narodowej i ztąd oddawane są każdemu z nich oznaki wielkiego uszanowania.

Kiedy za wejściem do kościoła i nieznając jeszcze księdza Hornika, pytałyśmy się zakrystyana: czy ksiądz, który przeszedł, nie jest to on przypadkiem, odpowiedział nam prawie obruszony tem przypuszczeniem i potrząsając głową:—O ne... to cały Memiec!...

Ten lud pobożny oddaje Bogu, co jest Boskie-

go, ale umie stać mocno przy tem, co Bóg dał człowiekowi na ziemską godność i miłość: nie ulega zamieszaniu pojęć.

M. Ilwicka.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, w Październiku 1886 r.

Szereg nowych sztuk, zapowiedzianych na zimę, rozpoczął dramat wierszem panny Simony Arnaud, odegrany kilka dni temu w teatrze Odeonu. Tytuł dramatu: *Synowie Jaheli*, treść wzięta z historii Machabeuszów.

Po dwakroć już ten ustęp z Biblii dał pobudkę dramaturgom francuzkim. Przed stu pięćdziesięciu laty La Mothe przedstawił w teatrze tragedya pod tytułem: *Machabeusze*; lat sześćdziesiąt temu Guiraud wystąpił w Odeonie z inną tragedya: *Machabeusze czyli męczennik*. Obie te sztuki, ożywione tchnieniem patryotycznym, poruszyły głęboko współczesną im publiczność, ale utwór panny Arnaud przewyższa je nieskończeniem, tak wytwornością wiersza, jak i obmyśleniem sytuacji. Autorka, wyswobodzona z pęt klasycznych, narzucających konieczny warunek jedności czasu i miejsca, umiała lepiej od poprzedników swoich wyrobić efekta scenicznego z bogatego wątku, na którym osnuła piękny dramat. Przytaczamy treść szczegółowo.

Pierwszy akt, to jest właściwie prolog, odbywa się w chacie ukrytej w głębi ciemnego lasu, w ziemi Galaad. Tu Jahel, wdowa po zmarłym królu Judei, Matatiasie, przebywa tajemnie, z pięciu synami: Judą, Symeonem, Janem, Eleazarem i Jonatase. I otóż wybiła godzina rozłączenia. Agenci Antyocho Króla Syryjskiego, spisują ludność w wioskach izraelskich. Wdowa zżyma się na myśl, aby synowie bohatera mieli być zapisani jako żołnierze krwawego zdobywcy, który świeżo pogromił Judę. Zaufany sługa uprowadza ich daleko; umówionym znakiem uwiadomi Jahelę, że dzieci jej ukryte już w miejscu bezpiecznym.

Zaledwie że się oddalili, przybywa Lizgas, wielkorządca Jerozolimy, wyciąga na słowa Jahelę, która mieni się ubogą, bezdzietną wdową. Lizgas nie dowierza; zresztą poszarpany szczerątek świętej chorągwi odkrywa mu prawdę. Zrazu wdowa broni się uporczywie, ale w chwili, kiedy umówione hasło dobiegło jej do ucha, kiedy wie, że dzieci jej bezpieczne, podnosi dumnie głowę i urąga wbrew wysłańcowi Antyocho.

— A więc wyznajesz, kobieto, niegodziwy twój podstęp! — zawoła groźnie Lizgas.

— Tak, wyznaję — odpowie matka:

Jestem Jahel! Co dłużej ukrywać przed wrogiem?! Krajem moim Judea, Przedwieczny mój Bogiem, Mym małżonkiem był szermierz niepożytej chwały, Co siekł wasze zastępy, jak pokosy trawy; — Po trzykroć przed nim wasi padali wodzowie, Jam wdową bohatera!...

Lizgas usiłuje uspokoić zapamiętałą z gniewu matkę. Podczas, gdy wyszedł na chwilę, by przywołać swój orszak, Jahel ucieka z domu; wnet połączy się z dziećmi.

Na tem kończy się prolog. Dwadzieścia lat odtąd upłynęło.

Armia Antyocho Epifana IV obozuje pod murami Jerozolimy. Pogromca syryjski oddał miasto pod opiekę pogańskim bałwanom, rozkazał wnieść olbrzymi posąg Jowisza u bram świętego grodu. Olbrzym w szerokiej dłoni trzyma niewieścią postać wyobrażającą „Zwycięztwo.” Wojsko Syryjskie pilnie czuwa, wieść bowiem rozbiegła się po kraju, że Juda Machabeusz, który kilkakrotnie pokonał już Syryjczyków, przybliży się groźnie pod miasto.

W obozie Antyocho przebywa młody Judejczyk, służy mu, pozyskał jego ufność. To Jan,

młodszy brat Judy Machabeusza. Starszy brat wyprawił go tu, rozkazał mu śledzić obroty wojsk nieprzyjacielskich. Nieszczęściem, Jan pokochał piękną Myrrę, córkę Antyocho: serce królowny uderzyło też dla Izraelity, wytwornego, jak Grek, pięknego jak dziewica.

Przebrany Juda wdziera się tajemnie między warowne mury, żąda od brata objaśnień, co do sił nieprzyjacielskich. Jan oburza się na nikczemną rolę, jaką musi odgrywać. Wódz izraelski odpowiada mu na to:

Jeśli inne od moich wytknąłem ci szlaki, Idź: woła cię powinność, a cel nasz jednaki, W chwili, kiedy pod chłostą pada kraj ojczysty, Każda broń dość szlachetną, każdy szermierz czysty, Skoro woła i czynem jednoczy się z braćmi! Plama zdrady, mój bracie, twej chwały nie zaćmi.

Jahel z innym synem przychodzi do Judy i Jana: podniecają się wzajem do ostatecznej walki. Zaledwie że odeszli, a Jan pozostał sam, powstaje opodal głośnie wrzawa. Juda, odchodząc, wytrącił posąg „Zwycięztwa” z olbrzymiej dłoni Jowiszowej i podruzgotał go w kęsy. Głos publiczny oskarża Jana. Antyoch wydaje wyrok śmierci. Głowa Jana ma spaść natychmiast pod toporem. Tu występuje Myrra, błaga ojca o łaskę dla przestępcy. Tymczasem: płatny zbir godzi sztyletem w pierś młodziana. Oblany krwią Jan upadł na ziemię, Myrra rzuca się ku niemu, widzi, że jeszcze żywy.

— Jowisz nie przyjął ofiary! — woła z radością, zwracając się do ojca.

W akcie trzecim widzimy Jana w pałacu Antyocho. Otoczony tkliwą opieką Myrry wkrótce odzyskał zdrowie. Nagle przypomina sobie, jak by zbudzony ze snu, że przyrzekł dać hasło do boju braciom. Wzdiera się gwałtem od boku ukochanej... Niestety, już zapóźno! Antyoch zwyciężył, zastępy Izraela zniszczone do szczytu, po trzydniowych zapasach. Eleazar, Jonatas i Symeon ukrzyżowani pod murami Jerozolimy; Juda, jak mówią, poległ w boju.

Okropna wieść dobiega Jana. Młodzian rozdziera szaty, woła uniesiony rozpaczą:

Niech ten pałac przeklęty runie mi na głowę, — Gdy okrzyki tryumfu rozległy się wkoło, Niech popiół pokutniczy sypnie mi na czoło!

Boleść płacze zmąsły nieszczęśliwemu: wyznaje, kim jest, mieni się synem Matatiasa.

— Nie słuchajcie go! on szalony! — woła przerażona Myrra.

Tu straż przyprowadza Jahelę okutą w łańcuchy. Podjętą ją modlącą się pod krzyżami zamordowanych synów.

Jan przystępuje do matki. Jahel odwraca oczy z pogardą, nie uznaje go synem swoim.

Matko! — woła nieszczęśliwy:

„Wróc mi imię, przez litość, chcę dzielić skon bratni Wróc mi je... pragnę umrzeć”...

— „Tak, to mój ostatni!”

rzecze matka, rozbrojona tem bohaterstwem Straż uprowadza oboje.

Akt czwarty w temżesamem odbywa się miejscu. Rozpoczyna go dziwnie piękna scena, między Myrrą a ojcem. Okrutny Antyoch kocha córkę nad życie, pragnie wyrwać ją gwałtem z tych miejsc krwią obryzanych, usunąć ją daleko; z miłością mówi do niej:

Spocznij pod greckim niebem, w krainie uroczej, Gdzie Myrtys modrą wstęgą, po kwiatach się toczy, Gdzie wietrzyk południowy tak rozkosznie dmucha I pieśń starych lirników niesie nam do ucha, A jeśli chcesz odwiedzić wschód promienny słąwą, Tam szlaki Alexandra nie zarosły trawą, Te fale, co pogromcę niosły na swym grzbiecie, I nam posłuszne będą, gdy na głos twój, dziecię, Sto razem złotych wioseł z pluskiem w nie uderzył!

Myrra, ośmielona dobrocią ojca, wyznaje mu swoją miłość dla Jana, błaga dla niego przebaczenia i łaski, co więcej, błaga, aby ojciec połączył ich ślubnemi węzły.

Antyoch zżyma się zrazu, ale rozzbraja go widok bladej, chwiałej córki: gotów poświęcić wszystko dla niej; myśl, że może ją stracić, przenika dreszczem pierś ojcowską.

Nagle wpada Lizgas, oznajmia królowi, że Juda Machabeusz nie poległ, że wystąpił zbrojnie przeciw wojskom syryjskim. Antyoch z głęboką odrzecznością boleścią:

Czy Juda zmartwych powstał, czy poległ, mnie jedno, Gdy mi córka umiera... ja widzę jak bledną Jej lica niegdyś hoże, me serce w rozpaczyl! Już śmierć nieprześlądana swoim piętnem znaczy Jej czoło, wiotką kibić, jej głosik pieszczony, Żrenicę na pół zgasał... Tyś chyba szalony Skoro tego nie widzisz... I cóż mi dziś potem? Żem ja panem Judei, że napełnion złotem Mój skarbiec, żem świat zdeptał zwyciężkami kroki Żem rozciągnął me ramię za Indus szeroki, Że slysze, jak tłum woła z przestrachu pół żywy: „Antyoch wielki, sławny! Antyoch sprawiedliwy! On pogromcą zachodu, wschodu mocną tarczą!” Te okrzyki gawiedzi azaliż mi starczą Za jedno z ust jej słówko, najśłodsze na ziemi, Gdy ogarnie mą szyję ramiony drżącemi, I wyszepcze z uśmiechem: „mój ojczyste!”

Po tej rzewnej scenie następuje inna, wielce efektowna. Lizgas, biegły polityk, daje królowi mądrą radę. Jan, syn Matatiasa, jest synem królewskim: niechże poślubi królowę syryjską Myrrę, zasiądzie z nią na podźwignionym tronie ojców. Zadoleni Izraelici schowają oręż do pochew i pokój zakwitnie w ludzie.

Przyprowadzają matkę, od niej zależy układ. Jahel słucha obojętnie: zanim da odpowiedź, pragnie widzieć się z synem.

Akt piąty przenosi nas do podziemnego lochu. Jan, okuty w pęta, wie, że zapadł już wyrok śmierci; sposobi się do niej modlitwą... Przerывa ją matka.

— Ciemiężca twój — rzecze — udarował cię życiem, czy przyjmujesz?

— Nigdy!... — odpowie młodzian z dumą... — Jam zawinił, niech śmierć zagładzi moją winę...

— Poznaję cię! — odpowie matka — godzien jesteś ojca i braci! Ależ Antyoch mianuje cię królem Judei!

— Nie żądam tronu, wołę umrzeć!

— Nie dosyć na tem: Antyoch gotów ci oddać Myrrę!

Jan zadrzał, szczęście błysło mu przed oczyma.

— Mamże spełnić próżną ofiarę? — rzecze do matki. — Judea pokonana! ona zakwitnie pod berłem mojem... godziż się poświęcać przyszłość kraju?

Ale Jahel nie podziela tych ułud. Wdowa bohatera zżyma się na myśl układów z wrogiem.

Zapał jej oddziaływał na syna, ostatni z Machabeuszów pójdzie torem ojca i braci i odda głowę pod miecz, nie splami rodu swego.

Przybiega Myrra; widok jej nie zwróci młodzieńca z drogi. W chwili, gdy strażę pochwycają go, Myrra połyka truciznę, pół martwa wyciąga ręce do Jana i szepcze z miłością:

„Proś Boga, niech twe niebo mojem będzie niebem.”

Straże prowadzą Jana na śmierć; Jahel w proczym zachwycie słyszy odgłosy trąb zwyciężkich. Jakoż zaledwie, że Jan skonał, gońcy przynoszą niespodziewaną wieść: Juda Machabeusz, z garstką wiernych, zdobył szturmem Jerozolimę. I w tej chwili ukazuje się trumfator i przystępuje do matki:

— Wróg pokonany! — zawoła — ojczyzna wolną!

— Wiedziałam o tem — odpowie Jahel i pada trupem u stóp bohaterskiego syna.

(Dokończenie nastąpi).

POŻEGNANIE.

Żegnaj, moja mała chatko
I srebrzysta rzeko!
Żegnaj, droga, stara matko!
Bo idę daleko...

Oj, daleka moja droga,
Przez góry i lasy!
Znikła z duszy cisza błoga,
Pierzchy szczęścia czasy.

O, matusiu, matuleńko!
Kto chatkę obieli?
I kto ciebie, choć małeńko,
Czasem rozweseli?

Kto piosenkę ci zanuci?
Kto przyniesie wody?
Gorzka żalność serce smuci,
Łzy rosą jagody.

Pobłogosław! Iść już trzeba,
Daj krzyżyk ostatni—
Tam mi ludzie dadzą chleba,
Lecz nie uścisk bratni...

Juliusz.

DROBNE LISTKI.

— **Włoski podróżnik po Afryce** hr. Antonelli, donosi w liście pisanym do przyjaciół w Rzymie, że przebywa obecnie w królestwie Szoa, gdzie jest w wielkich łaskach u króla i królowej. Ponieważ wybiera się z powrotem do Europy i spodziewa się przybyć do Rzymu w miesiącu Styczniu przyszłego roku, królewska para prosiła go o poczynienie im rozmaitych sprawunków. Królowa życzy sobie mieć, według danej miary ręki i nogi, czarne jedwabne rękawiczki, czarne jedwabne pończochy i tegoż koloru atłasowe buciki. Król pragnie także obuć się pięknie: chce butów ze sztylpami, czarnych jedwabnych skarpetek i lakierowanych kamaszków, a w dodatku dwunastu ozdobnych kryształowych flakonów z perfumami: sześć z cyfrą jego, sześć z cyfrą królowej. Przedmioty te zostały zapisane na czele listy sprawunkowej, przeciw królowa objawiła żądanie i innych nabytków: pragnie posiadać 25 obrazów religijnej treści, a między niemi kopią Rafaela: „Madonna della Seggiola.“ Lecz na nieszczęście pobożna pani myśli i o sztuce ojczyściej: kazała też wykonać nadwornemu malarzowi dwa obrazy świętych etiopskich: „przestraszająco brzydkich,“ które Antonelli ma powieźć do Europy, aby zostały przemaalowane piękniej. Przecież karawanom europejskim tak trudno jest dostać się szczęśliwie od brzegów morza do stolicy Szoa, tak je tam rabują i mordują, że królewska para może nigdy nie oglądać pożądaných przedmiotów.

— **Etnograficzna wystawa krajów Azji Środkowej** została urządzona w Genewie przez tamtejsze towarzystwa geograficzne i przyrodnicze.

Ogromna, 200 metrów długa, miejska sala wystawy, objęła wielką liczbę bardzo ciekawych i rzadkich okazów, które szwajcarski podróżnik, Henryk Moser, zgromadził w trzech podróżach, odbytych po Azji Środkowej, której kraje prze-wędrował: „walcząc i polując“, jak pisze w książce swojej: „A travers l'Asie centrale,“ będącej obrazem jego trzeciej i ostatniej, jak dotąd, podróży, odbytej w latach 1882—1884. Okazy, zgromadzone na wystawie, są zdobyczami wszystkich trzech podróży Mosera i przedstawiają znaczne zbiory: kostiumów często bardzo bogatych, ozdób, sprzętów domowych, sztuki miejscowej, broni, monet nowych i starych, wyrobów z brązu, tkanin najrozmaitszych i haftów czarodziejskiej zda się ręki—jak piszą miejscowe dzienniki—wreszcie pyszny zbiór dzikich zwierząt, upolowanych wśród dziewiczych lasów i wypchanych umiejętnie przez śmiałego łowcę. Wyroby z konopi zamienione na przedzie i płótna, zadziwiają oko—świadcząc wraz z innymi okazami, jak te krainy nieprzystępne dotąd dla Europejczyków, ciekawe są i pełne rzadkości, pełne skarbów starożytnego i umiejscowionego przemysłu. Czynnione są już do Mosera kroki, aby następnie wystawił zbiory swoje w Berlinie, gdzie pragną nabyć od niego, jeżeli nie całość, to choć część ich pewną.

— **Paryżka Wystawa Powszechna z 1889 r.**, z dziedziny projektu wstąpiła d. 1-go Października w rzeczywistość. Dnia tego w obecności paryżkiego dyrektora budowli publicznych Alphand'a, przystąpiono na Placu Marsowym do robot przedwstępnych. Całe miejsce, które zajmie gmach wystawy, zostaje oczyszczony z dawniejszych budynków i wszystko aż do fundamentów usuniętem będzie. Pierwsze, niszczące uderzenie walącego to młotu, odbyło się uroczystie w pierwszym dniu bieżącego miesiąca.

— **Cesarz Brazylijski** doniósł Francuzkiemu Instytutowi, którego jest członkiem korespondentem, o zamiarze swoim takiego przebudowania i urządzenia astronomicznego obserwatorium w Meksyku, aby mogła tam być zdjęta pod jego kierunkiem i nadzorem osobistym pewna liczba fotografii słońca, które pomogłyby do uzupełnienia fotograficznej mapy słońca, wypracowywanej obecnie przez astronomów francuzkich.

— **Sardou** nową swą sztukę pod tytułem: „Krokodyl,“ co oznacza nazwę parowca, krającego między Amsterdamem a Hong-Kong, a który zapewne gra jakąś rolę w dramacie, rozgrywającym się przeważnie w indyjskich posiadłościach Holandyi — czytał sam dyrekcji teatru „Porte Saint Martin,“ w obecności wszystkich aktorów, mających wziąć w niej udział, oraz malarzy dekoratorów. Razem było zgromadzonych osób 60. Sardou, który ma głos bardzo donośny, czytał ją na scenie, chcąc przez intonację głosu dać aktorom wskazówki, jak życzy sobie, aby charakterem zostały przez nich zrozumiane. Dotyczyło to i dekoratorów. Autor pragnął, aby zrozumiawszy ducha dramatu, umieli mu dać odpowiednie ramy.

— **Verdi** wykończył operę „Otello,“ nad którą pracował lat trzy w takiej tajemnicy, że nikt nie usłyszał z niej ani jednej nuty. Nawet Boito, który dostarczył do niej libretta, nie stanowił wyjątku. Gdy dwa lata temu wykończywszy je, przyniósł mistrzowi, ten po wysłuchaniu głośnego przeczytania, rzekł:—Jest to teraz moja już własność i wolno mi jest zrobić z nią, co zechcę...

Miał też zamknąć ją zaraz do biurka, a że młody jego kolega po lirze Apolina, nie chciał czynić mu przykrości, bo Boito wysoce ceni talent Verdiego, nikt nie poznał również ani jednego ustępu z libretta, które ma się wiernie trzymać

textu Shakespeare'a. Obecnie przecież pieczęć tajemnicy została zdjęta; w Medyolańskim teatrze „La Scala“ czynią przygotowania do wykonania opery, kapelmaister Faccio udał się do Santa Agata dla przestudyowania z maëstrem partitury, śpiewacy mają podobnie tam przybyć, dla wyuczania się ról swoich pod jego kierunkiem. Boito kończy też operę swoją „Neron;“ on już nie potrzebuje udawać się do nikogo po libretto; muzyk jest razem poetą i ztąd kompletnym już twórcą każdego swego dzieła.

— **Dramat Calderona:** „Córa Powietrza“ został przedstawionym na scenie teatru w Kassel. Zastępowania do sceny dokonał poeta Vincke. Przyjęcie sztuki przez publiczność odpowiadało godności poetycznej twórcy dzieła.

— **Muktar Basza**, komisarz Porty w Kairze, został honorowym członkiem akademickiego stowarzyszenia Indo-Kochinchińskiego we Francji. Muktar Basza wydrukował właśnie w Bulak dzieło swoje, nad którym pracował w cichości lat 22. W piśmie oznajmującym mu zaszczytne uznanie ze strony francuzkich uczonych wypisanem zostało, że stowarzyszenie przyznaje Ghazi Muktarowi jedno z pierwszych miejsc między uczonymi naszych czasów.

— **Dwuwiekowy jubileusz oswobodzenia Budy** z rąk Turków wyprowadził na wiedeński rynek sztuki stary miedzioryt, wykazujący, jak ten fakt historyczny silnie wzruszał wszystkie narody chrześcijańskie. Jest to w Paryżu wykonany, ogromny kalendarz ścienny, przedstawiający z wielką fantazją poetyczną cały szereg wojennych czynów w tej walce z Turkami, wśród czego wmięszaną jest wielka ilość postaci allegorycznych. Przedstawiają też one wszystkie ludy, biorące udział w tej wojnie.

— **Angielski ilustrowany tygodnik „War Cry“** (okrzyk wojenny) wydawany przez Stowarzyszenie Salutystów, rozchodzi się tygodniowo w liczbie 240,000 egzemplarzy i choć nie zamieszcza żadnych ogłoszeń, przynosi rocznie czystego dochodu 5,000 funtów (50,000 rs.) co idzie do rąk Stowarzyszenia, które czuwa nad moralnością obyczajów i religijnością armii angielskiej. Ona sama składa się na to, bo wszystkie pułki trzymają kompaniami to ucziwe, nauczające i zabawiające, wybornie redagowane pismo, które wypiera z baraków obozowych złą i psującą literaturę skandaliczną, jaką we Francji żywią się prze-ważnie klasy ludowe.

— **Bohaterskiego czynu wrażenie** chcąc uczynić narzędziem podniesienia patryotyzmu armii francuzkiej, minister wojny postanowił obdarzyć każdy pułk obrazem odpowiedniej treści, wykonanym przez jednego z pierwszorzędných malarzy francuzkich. Tourquet, podsekretarz stanu w wydziale sztuk pięknych, zajął się zamówieniem tych obrazów u malarzy: Protais, Berne-Bellecour, Duprey, Le Blant, Lewis-Brown, Delahaye, Renard, Artus, Aimeé Marot, Sergeant. Protais ma przedstawić epizod z wojny Krimskiej, Delahaye z bitwy pod Marengo, Aime Marot szarżę kirasierów francuzkich w bitwie pod Wörth, Sergeant obronę trzech batalionów Strzelców Afrykańskich w walce z przeważną liczbą Arabów, prowadzonych przez Abdel-Kadera.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

TREŚĆ. Pogawędka. — O kształceniu władz umysłowych, przez M. Ilnicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Kilka słów o Kobiecie Łużyckiej, (dokończenie), przez Melanią Parczewską. — Pożegnanie, poezya, przez Juliusza. — Nowiny paryżkie, przez Sew. Duchinińską. — Drobnе listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — Przegląd mód. — 11 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Октября 1886 года.